

Aleksander Kalczyński
Mszana Dolna

WSPOMNIENIA O ŻYCIU MSZAŃSKICH ŻYDÓW

Jak koszmarny sen minęły niewiarygodnie okropne lata wojny, więzień, obozów, straszliwie nieludzkich cierpień, czas pogardy i nienawiści. Chciałoby się o nich zapomnieć bezpowrotnie i nigdy do nich nie wracać, nawet we wspomnieniach.

Lecz oto, niestety, wkraczamy tym razem w groźne „atomowe” lata z ciemną, niepokojącą przyszłością. „Za dzień, za chwilę nie będzie nas, nie będzie nas, nie będzie nas” – śpiewa nowe pokolenie. A my nie zdążyliśmy jeszcze rozliczyć się, utrwalić historii tamtych dni. Coraz mniej jest tych, którzy mogą opowiedzieć o Polsce, o Mszanie przedwojennej i wojennej. My, którzy byliśmy świadkami, czy wręcz uczestnikami tamtych wydarzeń, musimy, mamy nawet obowiązek, utrwalić te czasy pełne niesamowitych przeobrażeń w naszym życiu. Przyszłe pokolenia będą z pewnością ciekawe jak współżyliśmy z innymi, z Żydami, których w naszym miasteczku było prawie 50%. Jacy oni byli, jak żyli? Spróbuję na tle naszego miasteczka – Mszany Dolnej, w oparciu o osobiste przeżycia, przedstawić tę społeczność. Cieszyłbym się bardzo, gdyby ktoś mógł coś dorzucić do mojej historii, bo przecież razem wychowaliśmy się, żyliśmy pod szczytami Lubonia, Szczebła, Lubogoszcy, Śnieżnicy i Turbacza.

Przekazana ustnie historia mówi, że pierwszymi Żydami, którzy osiedlili się w Mszanie Dolnej, byli karczmarze. Arendowali oni karczmy od właścicieli dworu. Najstarsza karczma była na rogu ulic Nowotki¹ i Fabrycznej. Karczma ta była w pobliżu kościoła i cmentarza, na miejscu dzisiejszej poczty „Na Stawarce”. W czasie wielkiej powodzi kościół i cmentarz zabrała woda. Prababka moja – Krupińska opowiadała, że trumny płynęły Mszanką. Druga karczma była na rogu ulic: 1 Maja i Kościelnej², zwana propinacją. Później znajdowało się tu niesławnie zlikwidowane „Kółko Rolnicze”. W samym środku Rynku był ratusz, a w nim karczma, którą przeniesiono do Seslera (na rogu rynku, tam gdzie mieszkał Jan Grzywacz). Następna karczma była u Fabra

¹ Obecnie ulica Maksymiliana Marii Kolbego.

² Obecnie ulice: Marszałka Józefa Piłsudskiego i Jana Pawła II.

w Olszynie. W niej ustawicznie odbywały się bójki między mieszkańcami Gronoszewej i Poręby. Karczma „U Szmidta”, na pograniczu Mszany i Kasinki, za mostem, miała duże powodzenie. Taką samą sławę i powodzenie miała karczma „Za Rabą”, a także „Na Przymiarkach”, którą prowadziła do II wojny światowej rodzina powszechnie znanych Zollmanów. Mieli oni stale kłopoty z policją, podobno podrabiali pieniądze. Uważano ich za milionerów, bankierów. Finansowali wszystkie żydowskie sklepy na Słomce: Lewka – prowadzącego skład drzewa, Wolfa – bławatny, Burka „Zardzewiałego” – żelazo, nafta, smary, Bieńka Leisera – nawozy sztuczne. I jeszcze jedna karczma (koło obecnej gminy) – Sterna-Weinbergera.

Interesujący z pewnością jest fakt, że na starych mapach austriackich ani Mszana, ani Raba nie są notowane, natomiast mocno zaznaczony jest Niedźwiedź. Po roku 1885, kiedy zbudowano „cesarkę”, czyli bitą drogę przez Mszanę, oraz kolej, centrum handlowe będące dotychczas w Niedźwiedziu, dzięki istniejącej tam hucie szkła, przeniosło się do Mszany. Tu przenieśli się również Krupińscy, Magierscy, Mitany, Michorczyki, Sterni, Franczaki, Weisbergerzy. W tym już czasie budowano synagogę, bo napływ do Mszany wyznawców religii Mojżeszowej był tak duży, że w roku 1939, jak już wcześniej zaznaczono, stanowili oni prawie 50% mieszkańców.

Sobota – szabas były świętem dla całej Mszany Dolnej, prawie wszystkie sklepy były zamknięte, warsztaty rzemieślnicze również. Ulicami spacerowym krokiem Żydzi podążali do bożnicy, osobno Żydówki. Mężczyźni ubrani odświętnie w długie czarne jupice, białe pończochy, czarne lakierowane buty i jarmułki – lisice (ograbki). Żydówki ubrane na ciemno, w wyfryzowanych perukach, pięknych koronkowych szalach na ramionach. Społeczność Mszany o dwóch odmiennych religiach żyła zgodnie. Mieszkańcy miasteczka, jak i gazdowie z okolicznych wsi, byli zadowoleni z obsługi handlowej i rzemieślniczej, bo prawie wszystkie te zakłady prowadzili Żydzi. Konkurencja była duża. Kupcy starali się być grzeczni i sprawnie obsłużyć klienta. Tak samo rzemieślnicy: fachowo, starannie, dokładnie wykonywali swą pracę.

Żydowska społeczność była bardzo ruchliwa, ludzie ci dużo podróżowali, nie tylko w celach handlowych, także studiowali, władali wieloma językami, leczyli się za granicą. Jeden z bogatych Żydów zapytany przez mego ojca ile razy był w Karlsbadzie na leczeniu, odpowiedział: – „Co roku tam jeżdżę, już przez całe 10 lat”.

Żydzi założyli dużą, dobrze zaopatrzoną bibliotekę, z której korzystali również katolicy. Można tam było wypożyczyć interesującą książkę. Jedyna łaźnia na tutejszym terenie była własnością Gminy Żydowskiej. Z niej również korzystali wszyscy. Żydzi mieli dobrze zorganizowany Związek Kupców i Rzemieślników w oparciu o kahał. Jako przeciwstawna związkowi żydowskiemu powstała



Natan Hollender, rabbi Mszany Dolnej, zm. 1938 r.; fot. archiwum



Synagoga w Mszanie Dolnej (Rynek); dzieci podczas święta Purim

Kongregacja Kupiecka³. Gmina Żydowska rygorystycznie zarządzała Związkiem Kupców i Rzemieślników żydowskich. Każda skarga na kupca lub rzemieślnika żydowskiego była rozpatrywana natychmiast i ewentualnie egzekwowana. Toteż ludność katolicka miała duże zaufanie do tej instytucji. Niejednokrotnie słyszałem pogroźki: – „Ty taki, owaki. Ja pójdę do kahału i poskarżę się na ciebie”. Zawsze to pomagało, bo kupiec czy rzemieślnik bał się nagany.

W synagodze była szkoła żydowska. Przedszkolaki uczyły się tam na pamięć Talmudu, głośno recytując całe wersety. Przy otwartych oknach latem słychać było ten hajder (tak nazywaliśmy tę szkołę) na cały Rynek. Po ukończeniu hajderu część chłopców chodziła do Szkoły Powszechnej razem z nami, toteż mieliśmy wśród nich kolegów, zawiązywaliśmy przyjaźnie na lata dorosłe.

Mszańska rzeźnia była bardzo ruchliwym centrum rzemieślniczo-handlowym. Tu przywożono z całej okolicy setki cieląt i bydła, nawet z Nowego Targu i Starego Sącza z jarmarku. Po oporządzeniu mięsa wywożono je do Krakowa do szpitali i dla wojska. Głównymi dostawcami byli Turnerzy, Schtanbergerzy, zwani „Wygrysie”. Całe osiedle „Za Wodą” (u Steczka) żyło z pracy w rzeźni. Mieszkali tam Żydzi i katolicy. Dzieci wychowywały się razem, bawiąc się nad rzeką, wszystkie mówiły po polsku i żydowsku.

Od czasu do czasu przyjeżdżał do kahału mszańskiego cudowny rabin z Bobowej – Halberstam. W ten dzień w Mszanie było święto, sklepy były zamknięte, Żydzi świątecznie ubrani: w lisicach i jarmułkach na głowie, w chałatach, w białych pończochach – witali na stacji kolejowej przyjeżdżającego rebe. Rabin siadał na wóz a tłum Żydów otaczał jadącego w kierunku synagogi. Każdy witający starał się przynajmniej dotknąć wozu, na którym siedział rebe. Po czym cmokał głośno. Dlatego nazywaliśmy ich „cmokierami”. Scena z cmokierami powtarzała się również przy pożegnaniu rebe.

Cała Mszana od Gronoszowej po Zakręt, wszystkie niezabudowane place miała wykorzystane na składowiska drewna. Tu strugano je z kory, cięto na metraki, sortowano, dowożono do wagonów na pobliskiej stacji kolejowej. Od wczesnego rana do późnej nocy, szczególnie zimą, jechały furmanki z drewnem. Często powstawały na drogach kilkusetmetrowe zatory.

Na gospodarczych mapach Polski Mszana miała zaznaczony największy graficznie słupek handlu drewnem. Nic dziwnego, skoro były tu firmy, które osiągały zawrotne obroty i mogły sobie pozwolić na różne śmiałe pociągnięcia handlowe. I tak: dwie firmy konkurujące w skupie drewna potrafiły stracić w krótkim czasie po 40 tysięcy dolarów. Cały handel drewnem był w rękach

3 Został ufundowany sztandar cechowy, a właściwie Cechu i Kongregacji Kupieckiej, bo to był wspólny koszt. Prawie wszyscy członkowie cechu należeli równocześnie do kongregacji. Ostatnim cechmistrzem w Mszanie Dolnej był Franciszek Stożek (po śmierci Józefa Mityny, który został zastrzelony w 1929 r.).



Zajazd „U Szmidta” na drodze do Kasinki Małej prowadzony przez rodzinę żydowską, spłonął w czasie wojny



Dzieci żydowskie – Rynek, Mszana Dolna

Żydów polskich i niemieckich. Istniała na tym terenie tylko jedna mała firma katolicka handlująca drzewem: Ignacy Łazowski i Julian Kalczyński.

Gdy się przechodziło w tym czasie ulicami pachniało lasem, żywicą. Te zapachy były, prócz gór i rzeki, doskonałą reklamą. Toteż w lecie mieliśmy pełno letników z całej Polski, a w szczególności z Warszawy (był nawet specjalny wagon Mszana–Warszawa). Żydówki, które przyjeżdżały na lotnisko były krzewicielkami najnowszej mody. Do moich lokatorów przyjeżdżała na lotnisko kuzynka, która w ciągu dnia przebierała się podobno 20 razy. Tak twierdziły nasze panie zazdroszcząc pięknych strojów ładnej Żydówce.

Żydzi w Mszańcu, jak i w sąsiednich miasteczkach to byli pobożni chasydzi. Natomiast młodzież i inteligencja była bardziej lewicową, o poglądach trockistowskich, ale w sądny dzień wszyscy maszerowali do synagogi.

W roku 1918, w dniach, kiedy powstawała Polska, wieczorem ulicami Mszany maszerował spory tłum ludzi śpiewając i krzycząc. Po drodze rozbili restaurację Kleimanna, powybijali szyby, połamali stoły i krzesła. Noc była spokojna, księżycowa. Brzęk wybijanych szyb, łomot łamanych sprzętów słychać było na całe osiedle. Po chwili cały ten tłum podszedł pod nasz dom. Zatrzymali się i naradzali na głos – „czy Kalczyńskich rabować, czy nie?” Były głośne targi za i przeciw. Ktoś jednak (chyba szewc Jania) przekrzyczał innych i zakomenderował: „Idziemy do Sterna”. Tłum ruszył i za chwilę usłyszeliśmy wybijanie szyb u Sterna. W czasie narady tłum przed naszymi oknami, staliśmy w dużej sali. Ojciec, matka i my – troje dzieci. Tej nocy gawiedz ta przeszła przez wszystkie knajpy niszcząc, rabując. U Sterna tak się rozochocili, że jeden z nich (Krzyżowski) wskoczył na stół i ogłosił się Królem Polski. Wszyscy tam obecni krzyczeli, wiwatowali: – „Niech nam żyje polski król!” Nieśli go ulicą na ramionach. W tej gawiedzi było sporo Żydów („Wygrysie”). To królowanie skończyło się po paru dniach, bo z Nowego Sącza przysłano paru policjantów, którzy objęli służbę porządkową. Niemniej przez długie lata zwracano się żartobliwie do Krzyżowskiego „Królu Polski”. Po jakimś czasie nastąpiła stabilizacja i Żydzi sądownie dochodzili odszkodowań za rabunek i dewastację. W tych samych parnych, pogodnych i księżycowych nocach przyszła gromada chłopców z Lubomierza na rabunek Mszany z workami na plecach i kijami w rękach. Szli gromadnie do skrzyżowania dróg. Tu zagroziła im drogę cywilna milicja, którą utworzył i dowodził doktor Władysław Czapliński. Mój ojciec był ważną podporą komendanta, choćby z tej racji, że tylko on miał olbrzymiego nagana (wprawdzie bez naboju). Doktor donośnym głosem zakomenderował: „Lubomierzanie zurück do domu, bo będziemy strzelać”. Zaskoczeni niedoszli rabusie wycofali się.

Ojciec mój miał cztery domy, dzierżawił w nich Żydom mieszkania. Bawiliśmy się na podwórkach, nad rzeką całą gromadą. Najmłodszych pilnował stary Eberschtäg-Giecek. Siedział w wygodnym fotelu, bez przerwy palił fajkę na

długim, może metrowym, cybuchu. Często siedziałem na jego kolanach, karmił mnie różnymi łakociami. Bardzo lubiłem tego starca. Koledzy w domu przezywali mnie „Mały Giecek”. Tak zostało przez lata, a w czasie okupacji był to mój pseudonim.

W jednej z szop naszego gospodarstwa jakiś czas zamieszkiwał opętaniec, ogromny Żyd. Głowa zwichrzona długimi włosami, broda do pasa, ubrany był w długi, czarny, podarty chałat przepasany czasem powrośłem ze słomy, bez ubrania i bielizny. W ręce trzymał kostur. Rozstawionym, niepewnym krokiem posuwał się do przodu. My, dzieci biegaliśmy za nim i wołali: „Tyś chciał wojny! Tyś chciał wojny!”. Gniewał się i swym kosturem opędział, ale my wytrwale prześladowaliśmy go tym krzykiem aż się oddalił.

Trzecim bohaterem był Ici Sura, ojciec jedenaściorga dzieci. Częściowo utrzymywał go kahał. Z zawodu był rzeźnikiem, ale całe dni spędzał na łowieniu ryb „na rękę”. Ręce miał cienkie, delikatne jak panienka. Był ekspresowym dostawcą ryb. W ciągu godziny potrafił nałapać 3–5 kg pstrągów. Znał na pamięć wszystkie „baniory” w całej okolicy, toteż wiedział, gdzie są mateczniki pstrągów. Wyznawał osobliwą filozofię i często powtarzał: – „Olek my żyjemy! Nie, nam się zdaje, że my żyjemy, my wcale nie żyjemy!”. Graliśmy razem na państwowej loterii, składając się na ćwiartkę losu (10 zł). Los kupowaliśmy w kolekturze cudownego rabina Halbersteina w Bobowej. Za którymś razem Ici zdenerwował się i nie chciał wpłacić należnej części przypadającej na los. Oświadczył: – „Ja nie gram. Mam w nosie cudownego rabina”. Toteż musiałem sam wpłacić za niego, ale uroczyście zastrzegłem, żeby nie miał do mnie pretensji, jak wygram, a przecież on wie, że ja Olek jestem „Glucksmann” (codziennie rano Żydzi rozmieniali w mojej restauracji pieniądze na szczęście). Nic nie pomogło, żadne straszenie ani namowy. Nie wpłacił swojej części. Nadszedł dzień ciągnięcia. Ja, Olejassy, Tadek Pindela, Jasiak Krupiński popijaliśmy przy stoliku i koledzy dla żartów zaczęli mi gratulować głównej wygranej (ćwierć miliona), którą rzekomo wygrałem w kolekturze Halbersteina. Listonosz Zimmer, należący do zмовы wręczył mi na oryginalnym druku telegram zawiadamiający o wygranej. Naturalnie ja, udając uradowanego stawiałem wódkę za wódką. Coraz więcej gości przybywało do restauracji, którzy mi gratulowali. Przed domem powstało zbiegowisko Żydów, wszyscy powtarzali: „Olek wygrał!”. W pewnej chwili na poły przytomny do sali wpadł Ici Sura krzycząc: „Olek, czy to prawda?”. W odpowiedzi dałem mu telegram do przeczytania. Pobladł. Pocieszając go mówiłem: „Ja nie wierzę, zamówiłem telefon do kolektury. Ici, stój tam przy telefonie, bo ja jestem bardzo zdenerwowany i przez to nie potrafię odczytać cyfr. Masz tu numer, ołówek i notuj”. Jan Krupiński poszedł do domu i połączył się z moim mieszkaniem. Udając Halbersteina podał Iciemu numery wygranego losu. Ici sprawdził numery na ćwiartce losu i zemdlął z wrażenia. Po otrzeźwieniu

wyplakał na mnie 50 tysięcy złotych. Tyle mu obiecałem jak otrzymam pieniądze. Cała zabawa nie trwała długo, bo zazdrośni sąsiedzi i Żydzi sprawdzili wygraną telefonicznie w Bobowej.

Jeszcze jeden lokator, którego lubiliśmy i traktowali z pewną pobłażliwością, to Uryś – muzykant. Miał dużo dzieci. Rodziną tą opiekował się kahał. Uryś całymi dniami grał na skrzypcach, do innej pracy nie miał „pomyślunku”. Żona jego załamywała ręce, bo bieda u nich wielka, a jego nic nie obchodziło, tylko grał. Nie pomagały lamenty żony. Czasem chodził na wesela, skąd przynosił kołacze dla dzieci i wtedy u Urysia było święto, grał same wesołe kawałki. Sąsiedzi Urysia (nasi lokatorzy), krawiec Nauger i handlarz ubraniami Mosiek gniewali się, że ten jadł trefne kołacze, a w szczególności za to, że obcinał brodę na niemiecką modę.

W Olszynach, na przedmieściu żyło parę rodzin żydowskich. Z „postępowych” – wielokrotny milioner Langsam (ślepy) prowadził duży, wielobranżowy sklep, skład nawozów i maszyn rolniczych. Syn jego Dudek, mój serdeczny kolega, był inicjatorem założenia biblioteki. Sąsiadem ich był Gietz – właściciel sklepu spożywczego „U Cypy”. Następni to rodzina Feursteina, dzierżawcy tartaku hrabiego Krasieńskiego. Wytwórnię cukierków – sztolwerków prowadził Izaak Widawski. Wszyscy na tym osiedlu byli bogaci, ubierający się po europejsku, nie nosili bród ani pejsów, toteż chasydzi z Rynku krzywo na nich patrzyli.

Ciekawą postacią był starszy, modnie ubrany Frei, zawodowy karciarz, gracz. Podobno w Monte Carlo rozbił bank, ale w następny wieczór wszystko przegrał i powrócił do Mszany pieszo. Pytałem go o tę przeszłość, ale nigdy nie chciał na ten temat mówić. Podziwialiśmy jego niewiarygodne sztuczki, jakie umiał robić z kartami. Często jeździł do Krakowa do Polera na występy. Tam było nieoficjalne kasyno gry. Czasem powracał zadowolony i uszczęśliwiony, oświadczał wtedy: „Teraz mogę parę miesięcy odpocząć”.

Podobnie eleganckim, „postępowym” Żydem był Weissberger prowadzący sklep żelazny (koło siedziby Gminy). Doskonały szachista, wszystkie partie wygrywał. Każdy chciał z nim grać, toteż codziennie miał nowych partnerów. Poza tym był genialnie przewidującym politykiem, czytany w literaturze światowej.

„Na Aderówce” mieszkała rodzina właściciela dużego tartaku, jak też fabryki mebli giętych w Jazowsku – Aderzy. Utrzymywali oni kontakty z krewnymi w Wiedniu (sławny Radek był ich kuzynem) [chodzi o Karola Radka wł. Sobelssona, działacza Kominternu – przypis red.], toteż często przyjeżdżali do Mszany z Wiednia ich powinowaci. Najwięcej kontaktowaliśmy się z kuzynem – Edim, naszym rówieśnikiem, który co roku przyjeżdżał, by z nami trochę powędrować po górach. Chodziliśmy na Turbacz, na Babią i w Tatry. Edi był krótkowidzem

i z tej racji mieliśmy nieraz wiele kłopotu. Lubiliśmy go, bo był dobrym kolegą, w drodze mówił bardzo ciekawie o bieżących wydarzeniach polityki europejskiej.



Zabytkowy cmentarz żydowski przy ul. Zakopiańskiej w Mszanie Dolnej; fot. archiwum



Żydowska mogiła przy ul. Ogrodowej w Mszanie Dolnej

Nadeszły dni sierpnia 1939 roku. W mojej restauracji radio było włączone cały dzień. Wielu Żydów przychodziło słuchać bieżących wiadomości. Były to dni nerwowe, żyliśmy w oczekiwaniu najgorszego, tj. wypowiedzenia wojny. Hitler w jednej ze swych mów z kpina i butą powiedział o Żydach: „Nawet Jehowa wam nie pomoże”. Słuchając Żydzi byli oburzeni: „On bluźni. Jehowa go ukarze! Olek zobaczysz, doczekasz, pamiętaj, będziesz widział jego klęskę!”. Nikt nigdy nie mówił do mnie tak mocno żarliwie. Później, nieraz w obozie, w ciężkich chwilach myślałem o tym i pocieszałem się, że przecież Żydzi mszańscy prorokowali mi, że zobaczą pokonanego Hitlera, a zatem wszystko muszę ścierpieć i wytrzymać.

Dał Bóg, że dotrwałem i zobaczyłem. To było później. Będąc w 1945 roku w Norymberdze – ja, były więzień Oświęcimia, jeszcze ubrany w pasiaki stałem na trybunie, w miejscu, gdzie Hitler odbywał defilady. Niżej na schodach leżały rozbite, rozłupane hakenkroutze – ozdoby tej trybuny. I wtedy miałem w oczach tych mszańskich Żydów krzyczących „Olek, Olek będziesz widział, Jehowa go ukarze!”.

Ale wróćmy jeszcze do dni sierpnia 1939 roku, które w ogromnym napięciu szybko mijały. Nadszedł nieubłagane ranek 1 września. Wojna! Wojsko Polskie wycofało się z naszych terenów. Niemcy, natychmiast po wkroczeniu do Mszany, zastosowali represje wobec ludności, a szczególnie Żydów. Często słyszało się „Die echte galizische Juden” i z tymi słowami obcinali pejсы i brody wystraszonemu Żydom. Zaraz też zorganizowali kolumnę roboczą do naprawy drogi złożoną wyłącznie z Żydów, bijąc pejciami i drągami nienawykłych do pracy fizycznej poganiali „Schnell, schnell!”. A poza tym rabowali sklepy, mieszkania, nie tylko zresztą żydowskie (Kalczyńskich – sklep i mieszkanie, a także u Franciszka Janiego). Stary Stern zrzekł się wójtostwa Gminy Żydowskiej na rzecz Joska Turnera, który zresztą niedługo potem został aresztowany i wywieziony do Nowego Sącza, gdzie zginął z rąk oprawców. Na jego miejsce wybrano Dudka Langsama. W tym okresie przyszedł do władzy osławiony „Bürgermeister” Gelb⁴, który za wszelką cenę chciał zrobić duży majątek toteż „prawem i lewem” wyciskał na Żydach okup w postaci dolarów, złota, biżuterii. Wójt Dudek Langsam niedługo też został aresztowany i zastrzelony, dlatego że przechowywał bez zameldowania właścicielkę sklepu „Delka – obuwie” z Krakowa. Niewiasta ta w szoku nerwowym pobiegła do gminy krzycząc głośno. Obiecywała Gelbowi worek brylantów za uratowanie jej życia. Gelb ją uspokajał i kazał prowadzić się na miejsce przechowywanych brylantów. Właścicielka wskazała budę psa na podwórku Langsama, pod którą były ukryte brylanty. Siostra Dudka na

⁴ Władysław Gelb od listopada 1939 r. był burmistrzem Mszany Dolnej. Gnębił nie tylko ludność żydowską, ale również polską.

widok tego rabunku zwymyślała Gelba i jego pomocników, za co natychmiast ją związane i poprowadzono w kierunku urzędu gminnego. Po drodze w parku hrabiny Krasieńskiej Gelb zastrzelił ją i właścicielkę Delki (według relacji Gienka Furdyny). Gelb codziennie kierował żydowskie kolumny robocze do różnych prac. Między innymi do budowy drogi i ośrodka zarybieniowego. Gelb od czasu do czasu żądał od Żydów okupu wyznaczając przy tym krótki termin. W takiej sytuacji zwracali się oni do bogatszych obywateli katolików prosząc ich o pomoc. Nigdy nie odmówiono im pomocy, nie licząc zresztą na zwrot tych kwot.

Często przed wyruszeniem kolumn do pracy Gelb zarządzał męczącą gimnastykę, zmuszając ludzi do przysiadów, padnięć i jego sławnych „rollen”. Kto padł z wyczerpania, tego kazał oblać wodą. Nad pracującą kolumną m.in. czuwał Józef (Pajdzik). Był przekupiony – zatem wódki mu nie brakowało, więc upijał się do nieprzytomności i szybko zasypiał. Często jednak dostawał furii i katował ludzi. Po upadku Francji Gelb, jak i miejscowi volksdeutche byli przekonani, że postawili na dobrą kartę i teraz należy im się nagroda, mogą zatem bezkarnie rabować mienie obywateli Polaków i Żydów. Najpierw jeszcze rozrabowali olbrzymie składy drewna, zajęły się tym firmy austriackie. Sklepy i magazyny rabowali indywidualnie volksdeutche.

Osobliwością na miarę krajową w Mszanie były żółte pasy – szmaty, którymi musieli się obwiązywać Żydzi. Był to pomysł Gelba. Po roku zastąpiono pasy gwiazdą Dawida obowiązującą w całej Guberni. Mieszkania żydowskie były przeludnione uciekinierami z innych miast. Pomimo tego Gelb skonfiskował kilkanaście mieszkań dla swych pupili zagęszczając pozostałe nieprawdopodobnie.

Prawie wszyscy Żydzi mszańscy wyemancypowali się w ten sposób, że zgolili brody, pejsy, pragnąc uniknąć stałych szykan ze strony Niemców, którzy wciąż mieli uciechę znajdując „Die echte galiziesche Juden”, by móc ponai grywać się z bezbronnych. Dla nich Gelb utworzył teatr żydowski, tj. ściągnął po kilku chorych starców z łóżek, którzy nigdzie nie wychodzili z domów, więc zachowali brody i pejsy. Kazał im ubranym w czarne chałaty, białe pończochy, jarmułki, lisice, tańczyć i śpiewać przed panami Niemcami, zazwyczaj pijanymi i rozbawionymi.

Dla całej okolicy przykładem był ksiądz Józef Stabrawa⁵, który przed wojną walczył o niezależnienie się ekonomiczne ludności katolickiej od Żydów. Wszyscy przypuszczali więc, że jest zdecydowanym antysemitą. Jednak w czasie wojny w kazaniach ksiądz nawoływał, że obowiązkiem jest nieść pomoc ludowi, z którego narodził się Jezus Chrystus. To, co ksiądz powiedział na kazaniu stało

⁵ Ksiądz Józef Stabrawa (od 1917 r. proboszcz kościoła parafialnego w Mszanie Dolnej) wielki społecznik, więzień-męczennik obozów w Oświęcimiu i Dachau. Zamęczony przez hitlerowców 17 VIII 1942 r.

się prawie rozkazem, toteż żaden Żyd nie wyszedł z domu katolickiego głodny. Pomagano im też inaczej: dając obuwie, ciepłą bieliznę i inne rzeczy. Każdy Żyd był dla nas żywym przypomnieniem czasów przedwojennych, kiedy to wszystko można było kupić w sklepach z uprzejmą obsługą i wszystko ponaprawiać za grosze u doskonałych rzemieślników. Pomagając im w przetrwaniu tej okrutnej rzeczywistości byliśmy pewni, że doczekamy się razem z nimi zwycięstwa i dokonamy odbudowy, że znowu będziemy żyć razem na tej beskidzkiej ziemi, ziemi twardej skalistej, ale pięknej, dotychczas spokojnej. Jak się okazało – do czasu. Gelb przy Gminie Żydowskiej zorganizował „wartę żydowską”. Składała się ona z wielu byłych wojskowych. Celem jej było m.in. egzekwowanie na opornych współziomkach kontrybucji nakładanych przez Gelba lub gestapo. Dudek Langsam, potem Aron Turner chwalać się wojskowym wyglądem warty żydowskiej niejednokrotnie oświadczał, że jak zajdzie potrzeba, to chłopcy będą walczyć. Wiadomo było, że broń kupowali od Niemców, sporo też mieli sprzed wojny. Niestety całą tę grupę Niemcy podstępnie zwabili pod pozorem budowy baraków i rozstrzelali na miejscu zbiórki (w miejscu zwanym Leszczyna, Cegielnia). Zginęły 22 osoby. Stało się to 1 maja 1942 roku. Tylko jednemu z nich udało się zbiec – Landowi Wetzerowi, nauczycielowi z Krakowa. Niestety i tego po kilku dniach schwytano i rozstrzelano (chłopi skutego łańcuchami oddali żandarmerii). Likwidacja najenergiczniejszych osłabiła wolę walki u reszty. Do dziś nie wiadomo czy gestapo wykryło organizację żydowską, czy zadziało profilaktycznie ze strachu przed byłymi wojskowymi. Żydzi pędzeni ustawicznie do ciężkich sezonowych prac, dręczeni i zmaltretowani niedostatkiem, głodem, obrabowani z pieniędzy, biżuterii, ubrań, ulegli mistycyzmowi Talmudu, w którym było proroctwo, że w roku, w którym nie będzie przepiórek oni wszyscy zginą. Ogarnięci religijnym fanatyzmem wypytywali wszystkich „Czy widzieliście tego roku przepiórkę?”. Istotnie przepiórek nie było.

Mijały ciężkie dni życia okupacyjnego, ogromnego napięcia, aż nieodwołalnie nadszedł dzień zagłady mszańskich Żydów. Stało się to 19 sierpnia 1942 roku. Nieszczęsnego dnia Gelb nakazał wszystkim Żydom zdolnym do pracy, a także chorym i dzieciom zebrać się na placu w Olszynach. Tam czekało na nich gestapo z Nowego Sącza z Hamanem na czele oraz paru policjantów granatowych. Wszystkim zebranym na placu kazali położyć się twarzą do ziemi, następnie odliczyć do pięćdziesięciu. Z każdej pięćdziesiątki wybierano po kilku zdolnych do pracy, resztę w szeregu popędzono na wzgórze zwane „Pańskim”. Zdrowi musieli nieść chorych i niemowlęta. Na wzgórzu w potoku od paru dni był przygotowany olbrzymi dół – grób. Po przypędzeniu grupy nad wykopaną jamę kazano im się rozebrać i wówczas jeden z gestapowców po kolei nad dołem strzelał im w tył głowy. Siostry Weissenbergerówny i stary Frey stawiali opór. Pomocnicy katów „junacy” (niestety Polacy) dowlekli ich nad brzeg dołu. W tej



Ostatni ocalały – Moses Afergut na miejscu mordu zbiorowego mszańskich Żydów (ul. Mroza); fot. T. Filipiak

masakrze zamordowano także parę rodzin katolickich pochodzenia żydowskiego m.in. inżyniera Emila Rosenstocka, któremu Gelb przyrzekł, że nic mu się złego nie stanie o ile przyjdzie na plac zbiórki. Tak samo obiecywał Annie Śliwińskiej, Gotlibowi z żoną i ich dwojgu małym dzieciom. Przy życiu po selekcji zostawiono grupę roboczą złożoną z 130 młodych, zdrowych ludzi. W późniejszym czasie i tych rozstrzelano względnie wywieziono do obozów zagłady. Z tej grupy uratował się tylko inż. Leo Gaterer, który przeżył Oświęcim i inne obozy. Wieczorem w restauracji urządzono zabawę dla morderców-esesmanów. Ściągnięto kilka młodych dziewcząt z miasta do obsługi i tańca. Obywatel mszański K. wygłosił mowę dziękując esesmanom za ostateczne zlikwidowanie Żydów w Mszanie. Na ścianie w lokalu widniał napis „Mszana wolna od Żydów”. Jednak kilku Żydów uciekło w góry (jeden z nich został schwytany i doprowadzony do żandarmerii). Z pogromu cudownym przypadkiem uratowało się również troje małych dzieci. Wykopały sobie norę w lesie na Starych Wierchach i w tym schronie mieszkały. Jakiś zwyrodnialec wywlókł je ze schowka i zastrzelił, usprawiedliwiając się tym, że przez nie mogli ucierpieć pobliskie osiedla, gdzie je żywiono.

Było również i tak, że z narażeniem życia paru gazdów przechowywało Żydów przez kilka miesięcy lub do końca wojny. Byli wśród nich Kasper Zapala z Lubomierza, Władek Waclawik⁶, Fredek Wcisło i inni.

Kilka rodzin mszańskich Żydów zdołało się uratować. To byli ci, którzy pozostali w czasie ucieczki w 1939 roku na wschodzie Polski. Obecnie mieszkają w Nowym Jorku, Chicago, Paryżu, Wiedniu, Frankfurcie n. Menem, w Izraelu, w Australii.

W tej chwili nie mieszka w Mszanie ani jeden Żyd, ale idąc ulicami widzę często ich synów, córki, wnuki – co mnie osobiście cieszy, bo ci młodzi ludzie są świadectwem, że Polacy i Żydzi nie tylko z sobą konkurowali w handlu, ale też często się kochali.

* * *

ALEKSANDER KALCZYŃSKI (1912–1996)

W latach 1936–1940 prowadził w domu rodzinnym restaurację. W czasie II wojny światowej i okupacji współtworzył konspiracyjne komórki wojskowe w okolicach Mszany Dolnej. Od 1939 roku przechowywał broń oraz zorganizował nasłuch radiowy. Aresztowany przez gestapo 1941 roku, był więziony był w Nowym Sączu i Tarnowie, po brutalnych przesłuchaniach został przewieziony do Auschwitz (nr obozowy 25055). Poddawany był pseudomedycznym eksperymentom, w wyniku których ciężko chorował. Uratował go

⁶ Informacje o państwie Waclawikach na stronie www.sztetl.org.pl. Ukrywali Maurycego Jereda, Żyda z Bielska Białej (zostali Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata).

dr Władysław Fejkiel, późniejszy prof. Akademii Medycznej w Krakowie. Od jesieni 1942 r. pracował w komandzie Fishzuht, w filii obozu na stawach w Harmężach, następnie był rysownikiem w Schreibstube, potem w Oranienburgu-Sachsenhausen (nr obozowy 91149). Wyzwolenia doczekał w Schwerinie w Meklemburgii. Przez cały ten czas należał do obozowego ruchu oporu.

Do Polski powrócił w lutym 1946 r. W 1950 otworzył warsztat pantoflarsko-obuwniczy, który prowadził do końca życia. Współpracował z Państwowym Muzeum w Oświęcimiu, zamieszczał wspomnienia w czasopiśmie „Podhalanka”. Był członkiem m.in.: PTTK, Cechu Rzemiosł Różnych oraz Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, Oddział w Mszanie Dolnej.

Odnaczony m.in.: Krzyżem Kawalerskim OOP i Krzyżem AK.

LITERATURA

- T. Latoś, *Polskie Towarzystwo Ludoznawcze w Mszanie Dolnej*, „Almanach Ziemi Limanowskiej”, Nr 15: 2013–2014, s. 22
- E. Wojtas-Ciborska, *Księga Limanowian*, Limanowa 2006, s. 255–257

materiały
świadectwa
dokumenty

